

DZIADEK

Pod stołem jest przytulnie. Podłoga pachnie pastą. Siedzę sobie w miejscu, w którym dywan się kończy i chłodna, czerwona gładź drewna łagodnie studzi ciepło moich nóg. Jestem w krótkich spodenkach, więc to chyba lato. Promień słońca jest pełen złotych, ruchliwych drobinek. Próbuję je łapać, ale przeciekają mi między palcami, tylko na chwilę przyspieszając swoje nieskoordynowane ruchy. Przestaję zwracać uwagę na złocistą kolumnę. Nie po to tutaj jestem. Zaraz zrobię to, czego robić mi nie wolno. Wiem o tym, bo kiedy mama zauważyła, że majstruję przy kontakcie, dostałem po łapach. Mam ze sobą lampkę, która zawsze stoi na biurku taty. Na tym szerokim biurku, ze lśniącym blatem, na którym gromadzą się drobinki kurzu. Te same, które teraz wirują w słonecznym słupie, zupełnie jakby wiedzione ciekawością przyszły za mną pod stół, żeby zobaczyć, co będę robił z lampką, na której zresztą także siadały. Kurz na biurku taty jest zawsze. Kiedy stoję, mam go na poziomie oczu. Mama wyciera blat dwa razy dziennie, a kiedy w chwilę później staję przed biurkiem, to on, ten kurz, jest tam nadal. Uparty, dziwnie zawzięty kurz. Panoszy się, bo wie, że tata już nigdy przy biurku nie usiądzie. Nie oprze głowy na dłoni, nie spojrzy na mnie z troską w oczach. Bo tata myślał pewnie, że ja nic nie wiem.

— Co to jest rak, mamusiu?

— Cicho, syneczku, za mały jesteś, żeby wiedzieć.

Tomek jest moim braciszkiem. Młodszym. Bawi się w łóžeczku. Chwytam sznurową siatkę między pomalowanymi na biało rurkami i zdradzam mu tajemnicę:

— Tata ma raka, odejdzie od nas — mówię, a Tomek kiwa głową i gulgocze po swojemu. Wie. Z Tomkiem rozumiemy się bardzo dobrze. Próbuję także opowiedzieć wszystko Kasi, mojej siostrzytce, ale ona jest za malutka.

A teraz siedzę pod stołem i w ręce trzymam lampkę. Przed chwilą włożyłem wtyczkę do kontaktu. Powoli przyciskam czerwony guziczek. Wiem, że zaraz żarówka rozpali mi oczy tysiącem białych, bolesnych płam. Znam to uczucie. Nie wiem tylko, dlaczego tak się dzieje. Przycisk zagłębia się posłusznie z cichym trzaskiem i natychmiast moje oczy wypełniają się tysiącami białych, bolących płam. Oddycham z ulgą. Teraz ostrożnie, powolutku wykręcam żarówkę. Przezroczysta, leciutka bańka fascynuje. Nic w niej nie ma. No, prawie nic, jeśli nie liczyć tego cienkiego, skręconego drucika, w ograniczonej niemal niewidoczną powłoką nicości. Dotykam szklanej bańki językiem. Jest słonawa. Oblizuję ją całą, a później samym koniuszkiem próbuję metalowego gwintu. Smakuje dziwnie i leciutko szczypie. Teraz nadchodzi czas na najważniejsze. Bardzo boję się nieznanego, ale ciekawość jest o wiele silniejsza. Powolutku badam wewnątrz otworu po wykręconej żarówce. Serce bije mi mocno, mam wypieki i szybko oddycham. Ostrożnie gładzę gruby gwint, wkładam palec głębiej i wyczuwam sprężystość giętkiej blaszki na dnie metalowego kielicha. Nic więcej. Zdziwiony, drugą ręką naciskam przycisk i nagle cały świat eksploduje.

Na mój wrzask, po którym rozzwaniają się szyby, wbiega mama. Wyciąga mnie spod stołu, widzi lampkę bez żarówki i domyśla się, co zrobiłem. Dwa strachy. Ten drugi, przed gniewem mamy i uderzeniami mokrej ścierki, których mi nie szczędzi, jest mniejszy, swój i jakby miły, a nawet przyjemny. Uciekam do dzieciennego pokoju. Tomek, w białych śpioszках, patrzy na mnie pytająco. Opowiadam mu wszystko. Szczegółowo. Mówię, płacząc i sapiąc przez nos. Tomek wyjmuje smoczek z ust, patrzy na mnie i się śmieje.

— Możemy się pobawić w ogrodzie?

Ciotka opuszcza okulary na czubek nosa i przygląda się nam bardzo uważnie. Najpierw Tomkowi, a po chwili patrzy na mnie. Długo. Za długo. Jej wzrok zdaje się przeszywać mnie na wylot, wyławia wszystkie pomysły, zamiary. Przy czym jest jeszcze coś, co ma szczególnie straszny wymiar. Ciotka Celina jest nauczycielką, a ja już w przyszłym roku pójdę do szkoły. Nauczycielka. To brzmi przerażająco. Nic dziwnego, że przed wzrokiem ciotki Celiny nie można nigdzie uciec, ale jej ogród to coś, z czego nie wolno łatwo rezygnować. Oblizuję się nerwowo i przestępuję z nogi na nogę. Ta cisza trwa już prawie wieczność. Zerkam na Tomka. Patrzy w okno i dłubie w nosie. Wsadził do dziurki prawie cały palec. Chcę mu dać po łapie, tak jak to robi mama, ale w tym momencie ciotka Celina poprawia siwy kosmyk włosów wysuwający się spod czarnej chustki, wzdycha z rezygnacją i w końcu zgadza się niechętnie.

Wpadamy do ciemnej, chłodnej, pachnącej dziwnie sieni, a potem skaczymy po kilku stopniach w dół, na chodnik rozgrzany wrześnieowym słońcem. Przebiegamy jezdnię i już jesteśmy przy ogrodzeniu. Przełazimy przez siatkę. Nie interesuje nas furтка. Znacznie przyjemniej jest wdrapać się na płot. W dodatku legalnie, mamy przecież zezwolenie na zabawę w ogrodzie ciotki Celiny. Tomek jest dużo niższy ode mnie, podszadzam go, zostawiam na szczycie metalowego płotu, przeskakuję obok, a potem usiłuję go zdjąć. Tomek puszcza drut i leci prosto na mnie. W ostatnim momencie całkiem odruchowo robię unik i braciszek ląduje na grządce uschłych, truskawkowych liści, twarzą w dół. Pomagam mu wstać i ocieram buzię. Płacze, ale szybko mu przechodzi. Całą moją wyobraźnię zajmują gałęzie uginające się pod ciężarem dojrzewających jabłek, miodowożółte gruszki na szczycie wysokiego drzewa i wielkie, granatowe śliwy, a także zielone orzechy, których jest całe mnóstwo. Przede wszystkim jednak mam ochotę na gruszki. Na te trzy wielkie, na samym szczycie najwyższej gałęzi. Pokazuję je Tomkowi. Sapie, z ust cieknie mu cieniutka nitka śli-

ny. On też wyraźnie ma na nie ochotę. Za plecami słyhać jakieś szmery. Odwracam się. Widzę Jacka i Muszkę. Chłopaków z naszej ulicy. Trzymają się siatki. W ich oczach jest zachwyt i prośba. Kiwam przyzwalająco głową.

Wieczorem jesteśmy wyjątkowo grzeczni. Myjemy się bardzo długo i dokładnie. Przez cały czas widzę kłujący, wściekły wzrok ciotki Celiny.

— Won z mojego ogrodu, gówniarze! Wynoście się! To napaść i rozbój w biały dzień! — krzyczy ciotka nauczycielka i dlatego jej gniew ma dla nas specyficzny, dużo straszniejszy wymiar.

Uciekamy oczywiście przez płot, a wraz z nami tłum małych obdartusów, których zaprosiliśmy do wspólnej zabawy prosto z ulicy, a których kieszenie i koszulki na piersiach wypełnione są owocami.

— Wasza matka zapłaci mi za to! — goni za nami płaczliwy głos ciotki Celiny, której wspaniały ogród, jej wielka duma, wygląda, jakby przeszło przez niego tornado.

Teraz obaj z Tomkiem mamy niejasne poczucie winy. I dlatego tak skwapliwie idziemy do łóżek, chowając za plecami dłonie, z których za nic nie chciały zejść brunatne plamy po soku z niedojrzałych orzechów włoskich. Leżę sobie cichutko, udając, że śpię. Obok leży Tomek i wydaje mi się, że słyszę bicie jego serca. Moje bije szybko, jak po biegu. Obaj czekamy. Świadomość zła, które wyrządziliśmy, jest tak wielka, że chciałbym mieć już karę za sobą. Pod powiekami ciągle tkwi twarz ciotki Celiny z krzykiem, który podnosi mi włosy na głowie: „Wasza matka mi za to zapłaci!”

Ciotka z mamą wchodzi do naszego pokoju, kiedy już zasypiam. Jest dokładnie tak, jak się spodziewałem. Mama oczywiście płacze, ale ten jej płacz wcale nie zmniejsza ani ilości, ani jakości razów, jakie przyjmujemy na gołe tyłki, najpierw ja, a później Tomek. Wrzeszczymy trochę, bo naprawdę boli, a później jeszcze trochę dla zasady. Wszystko to odbywa się pod uważnym i pełnym satysfakcji wzrokiem ciotki Celiny, która tak naprawdę nie jest

naszą ciotką, tylko daleką krewną żony wuja Kazimierza, tego, który złamał sobie nogę na motocyklu i teraz musi chodzić z laską. Kiedy wreszcie poszły, pokazujemy sobie z Tomkiem zaczerwienione tyłki. Od tego czasu słowo „płacić” kojarzy mi się nieodmiennie z ogrodem ciotki Celiny.

Jesienią 1950 roku idę do szkoły. Mam sześć lat i mama jest dumna, że taki mały górniarz umie na pamięć całą pierwszą księgę *Pana Tadeusza*. Dla mnie nie jest to żadna duma ani żadna frajda. Tylko ja wiem, ile kosztuje wielogodzinne powtarzanie za mamą, która ma wypieki, kiedy czyta:

— „Właśnie dwukonną bryką wjechał młody panek...”

— „Właśnie dwukonną bryką wjechał...” Mamusiu, co to jest „panek”?

Biednej mamie wydaje się, że ucząc najpierw mnie, a później Tomka i wreszcie Kasię utworów Mickiewicza na pamięć — Mickiewicza, bo nie chodziło wyłącznie o *Pana Tadeusza*, musieliśmy nauczyć się również *Ody do młodości* oraz *Ballad i romansów* — prowadzi z nami jakąś wyjątkowo niebezpieczną lekcję patriotyzmu. Dlatego chwaliła się naszymi umiejętnościami wyłącznie w gronie dobrych znajomych, przede wszystkim wtedy, kiedy przychodzili do nas gruby pan Niezgódka, doktor Borycki, który nie był doktorem od chorób, tylko od historii, oraz pan mecenas Labes. Pan mecenas Labes nie był wcale mecenasem Labesem, tylko jakimś pułkownikiem, który nie wiem jak się nazywał. Zwykle zanim ci panowie poszli sobie do pokoju dziadka, gdzie razem słuchali radia z zielonym, wielkim okiem, a później kłócili się nieraz do nocy, przekrzykując się nawzajem i zdając się w najbardziej drażliwych kwestiach na jego opinię, pytając: „Prawda, panie pośle?”, „Mam rację, panie pośle?”, a więc zanim jeszcze poszli się kłócić, mama po kolei wypychała nas na środek pokoju i dramatycznym szeptem nakazywała deklamację. Owa

atmosfera konspiracji udzielała się nam i dlatego my także mówiliśmy szeptem, zerkając na drzwi, jakby nagle miały z trzaskiem pęknąć i wpuścić do środka tę „hordę bolszewików”, jak mawiał dziadek, kiedy czytał gazetę. Później były oklaski i zachwyty:

— Niech pani popatrzy, pani Marylko, takie maluchy, a już to czują, już czują. No proszę, co to znaczy patriotyczne wychowanie... — mówili, ale ich oczy śledziły każdy ruch mamy, która przygotowywała kanapki na kolację.

W takich chwilach czułem się bardzo ważny, ale ni w ząb nie rozumiałem, o co w tym wszystkim chodzi. Na wszelki wypadek oboje z Tomkiem kłanialiśmy się sztywno i z zaciętymi zębami wychodziliśmy do kuchni, gdzie czekała na nas kulawa Kazia, która pomagała mamie prowadzić dom, i gorące mleko. I tak to było z tym Mickiewiczem, przynajmniej dwa razy w tygodniu. Okazało się jednak bardzo szybko, że znajomość strof wieszczą to jedno, a umiejętność pisania atramentem to drugie.

Moje pierwsze pisanie atramentem było bardzo starannie przygotowane. Mieliliśmy już za sobą dwa tygodnie stawiania ołówkiem kreseczek, kólek i krzyżyków, noszenia w piórniku drewnianej obsadki z błyszczącą stalówką, staranne, przynajmniej raz dziennie sprawdzanie, czy nie ma na niej przypadkiem niedozwolonej „kulki”, która podobno raz na zawsze psuje charakter pisma, o czym ze zgrozą, szeptem, opowiadaliśmy sobie, jedząc na przerwach kanapki przynieszone do szkoły w zatłuszczonym papierze albo po prostu zawinięte w gazetę. Czas próby nadszedł w poniedziałek. Pamiętam ten dzień bardzo dokładnie. Czasami nawet dziwię się, że to, tak banalne z pozoru, wydarzenie utkwilo mi w pamięci na całe życie. Nawet Pierwsza Komunia, którą przyjąłem jakiś czas potem, już w Poroninie, nie zrobiła na mnie takiego wrażenia. Myślę, że własny ożenek też takiego wrażenia na mnie nie wywarł, ale w tym przypadku mam usprawiedliwienie, zeniąc się bowiem, tak strasznie się bałem, że z całej uroczystości nie pamiętam prawie niczego.

Dzień mojego pierwszego prawdziwego pisania atramentem

jest uroczysty już od samego rana. Trochę tylko psuje mi humor ubranie, tym razem zwykle, takie, jakiego używam do zabawy, a to za sprawą ciotki Celiny, która jest moją wychowawczynią i która doradziła mamie, jaką kreację mam założyć. Byłem mimowolnym świadkiem rozmowy, która toczyła się w kuchni, gdzie mama przyjmowała ciotkę Celinę bezami i kawą, prawdziwą kawą, taką, jakiej zapach dochodzi nawet do ubikacji, w której słychać wszystko, co się w kuchni mówi, i w której siedziałem już od dwudziestu minut.

— Ty nawet, Maryla, nie masz pojęcia, jak wyglądają dzieci po takiej pierwszej lekcji pisania atramentem — mówi ciotka Celina. — Tego nie da się wyprać niczym i ubranie jest do wyrzucenia, a wam się przecież nie przelewa...

Ale mama jest innego zdania.

— Nie pozwolę, żeby moje dziecko wyglądało byle jak! — oświadcza. — I jak będzie trzeba prać, to się wypierze.

A ciotka Celina nic nie powiedziała, tylko westchnęła głęboko i później rozmawiały już wyłącznie o tym, jak się robi konfitury, żeby były gęste. Nie było na co czekać, no to spuściłem wodę w ubikacji i poszedłem sobie. Bardzo mnie intrygowało, dlaczego po tym wszystkim ubrania będą do wyrzucenia. A że pewnie będą, to chyba prawda, bo jednak tego dnia mama ubrała mnie fatalnie. Na szczęście większa część naszej klasy wyglądała jak potomkowie żebraków. Nastrój udzielił się całej szkole, już na pierwszej przerwie otoczył nas wianek drugo- i trzecioklasistów dających dobre rady. Dla nas były to szalenie cenne informacje, udzielane przez starych atramentowych repów, byliśmy zatem bardzo podnieceni i chcieliśmy, żeby to wszystko się wreszcie zaczęło. Musieliśmy jednak uzbroić się w cierpliwość, pisać atramentem zaczęliśmy na ostatniej, czwartej lekcji. Pewnie dlatego, żebyśmy natychmiast po tym akcie mogli udać się do domów.

Kiedy zadzwonił dzwonek, wszyscy już siedzieliśmy w ławkach. Początek był bardzo uroczysty. Myślałem, że pani od razu każe nam wyjąć obsadki, jak zwykle sprawdzi stalówki i zacznie-

my wreszcie pisać, ale nic takiego się nie działo. Mareczek, z którym siedziałem w jednej ławce, powiedział głośno, że pewnie pani zapomniała o tym pisaniu atramentem i teraz będziemy pisali ołówkami już do samego końca szkoły, a później się rozbechał. Mareczek często beczy bez powodu, ale tylko na początku, bo potem, jak dostanie gruchę w łeb, to już ma powód. Zanim dałem mu gruchę, pani uderzyła kilka razy linijką o stół. Zrobiło się bardzo cicho. Wiedziałem, że zaraz się zacznie. W ustach mam sucho i zęby podzwaniają mi leciutko.

Siedzimy wyprostowani, umyte ręce trzymamy na blatach ławek. Jestem bardzo ciekawy, jak też to się pisze atramentem. Nie ma co ukrywać. Uczestniczę w jakimś szalenie ważnym wydarzeniu. To początek nowego etapu w życiu. Czuję, że pisanie atramentem nobilituje, niesie ze sobą jakąś ogromną, bliżej nie sprecyzowaną odpowiedzialność. Pani od polskiego także jest wyjątkowo uroczyta. Nawet nerwowy tik prawego policzka, który stale wzbudza w nas zrozumiałe zainteresowanie, a także mnóstwo domysłów i spekulacji, dzisiaj jest całkiem inny. Policzek pani od polskiego podskakuje znacznie częściej, a błyski oczu, skoncentrowane przy pomocy grubych szkieł okularów, są niepokojąco ostre. Zanim zacznie mówić, kilka razy chrząka na próbę, co natychmiast podchwytyjemy i przez dobrą minutę wszyscy chrząkamy, myśląc, że tak trzeba. Dopiero ostre trzaski linijki o blat stołu na powrót sprowadzają ciszę. Pani zaczyna mówić, ale jej głos dziwnie wibruje, więc przerywa i jeszcze kilka razy pochrząkuje. Nie spuszcza z niej oka. Po chwili zaczyna po raz kolejny. Jej głos wyraźnie drży. Mówi o tym, w jaki sposób powinniśmy maczać pióra w kałamarzach, żeby nie spadały z nich krople atramentu. Opowiada to wszystko dwa razy, później powtarzamy jej słowa głośno, a na koniec „na sucho” maczamy stalówki w pustych jeszcze kałamarzach. Każdy z nas, po kolei, pod czujnym wzrokiem pani, której policzek podskakuje coraz częściej, chwyta obsadkę i podnosi ją do góry. Drżące ręce pani od polskiego układają nam palce na cienkich drewniakach malo-

wanych przeważnie czerwoną farbą i pokazują, w jaki sposób należy ocierać stalówkę o wylot kałamarza. Delikatnie przeciągam samym końcem pióra o brzeg szklanego naczynia, wydobywając z niego dźwięk ostry, natarczywy i niepokojący. W ciszy słychać podniecone sapanie i tarcie stalówek o szkło. W miarę upływu czasu pani staje się jeszcze bardziej uroczysta. Policzek podskakuje jej coraz częściej, a już bez przerwy zaczyna drgać, kiedy Kozłowski oświadcza, że to żadna sztuka, bo on pisze atramentem w domu już od dziesięciu lat. Spoglądam na niego z podziwem i postanawiam go naśladować. W końcu facet, który tak długo pisze atramentem, wie na pewno, jak maczać stalówkę. Technicznie nie jest to łatwe, to patrzenie na niego, bo Kozłowski siedzi za mną. Później pani każe nam usiąść pupami na dłoniach, a sama, idąc wzdłuż ławek, nalewa do kałamarza atrament z trzymanej oburącz wielkiej butli z niebieską etykietą. Z takiej samej butli mama wylewała do miski denaturat, kiedy trzeba było opalić kurę na rosół. A potem wyjęliśmy dłonie spod pup, chwyciliśmy obsadki, no i się zaczęło.

Mogę powiedzieć tylko jedno. Pisanie atramentem to wielka, wyjątkowa sprawa! I nie chodzi wcale o to, żeby stawiane atramentem laseczki, krzyżyki i kółka były w jednej linii. Cały swój wysiłek koncentruję na tym, żeby zdradliwy niebieski płyn pozostał wyłącznie na papierze. Po pierwszym wielkim kleksie na koszuli spoglądam do tyłu. Wszystko w porządku. Kozłowski cały jest już lekko niebieskawy.

Pani najpierw próbowała panować nad szalem atramentowego pisania, w jaki wszyscy wpadliśmy, ale później dziwnie patrzyła tylko w jeden punkt na ścianie, a policzek skakał jej tak szybko, że nie mogliśmy policzyć, ile razy skoczy pod rząd. W dodatku nie spojrzała nawet na przepięknego niebieskiego motyla, kiedy Marek, który siedzi ze mną w ławce, zamknął mój zeszyt na kleksie. No to pokazałem tego motyla chłopakom i każdy próbował, czy uda mu się zrobić ładniejszego. Ale nikomu się nie udało, więc musiałem im pokazać, jak się robi takie wielkie motyle. A Lulek

podszedł do pani i próbował ją pogłaskać, bo była bardzo smutna. Trwało to aż do dzwonka.

Boże, jaki byłem dumny! Do domu wracałem wyjątkowo powoli. Pamiętam pełne uznania spojrzenia mijanych ludzi. Mieli rację, że mnie podziwiali. Byłem wreszcie pełnoprawnym członkiem społeczeństwa umiającego pisać. Umiejętność posługiwania się atramentem świadczyła o mojej cywilizacyjnej przynależności. Niestety, w domu dorośli wcale nie rozumieli doniosłości chwili. Kiedy dumnie wkroczyłem do kuchni, mama załamała ręce.

— Boże kochany, Mateńko złota! Synku, jak ty wyglądasz! Jezusmaria! Matuchno święta! I on tak szedł przez całe miasto! — wrzasnęła, kiedy dokładnie mnie obejrzała.

Mieszkaliśmy wówczas na Konikowiu i rzeczywiście, chodząc do szkoły, szedłem prawie przez całe miasto. Kiedy lament nad moją zniszczoną, rano jeszcze czystą garderobą, się skończył, dostaję mokrą ścierką po tyłku i ryczę wniebogłoso, a w tym czasie mama próbuje mnie umyć. Nie udaje jej się ta operacja. Do łóżka idę nadal cały niebieski. Właściwie tylko Tomek mnie rozumie. Długo stoi przy moim łóżku i pełen nabożeństwa wodzi palcem po co większych niebieskich plamach. Szczególnie interesują go granatowe zacieki na mojej twarzy i szyi. Ale z Tomkiem nigdy nie musieliśmy sobie niczego długo tłumaczyć.

Ze snu wyrwał mnie jakiś hałas. Było ciemno, tylko przez szparę w drzwiach do pokoju ojca wdzierała się ostra, biała smuga światła. Działo się coś dziwnego. Obudziłem Tomka i razem, boso, po zimnej podłodze podeszliśmy do tej intrygującej jasności. Cichutko skrzypnęły drzwi i od razu znaleźliśmy się w centrum tego, co się działo w pokoju taty. Ten wyższy pan nie zdjął nawet kapelusza. To było niegrzeczne, przecież mama zawsze mówiła, że w mieszkaniu nie wolno chodzić z nakrytą głową. Pan był tak wysoki, że wcale nie musiał wchodzić na krzesło, żeby zdejmować książki taty na-

wet z najwyższej półki. Każdą przekartkował, potem potrząsał nią, przyglądał się, czy coś z niej nie wylatuje, i rzucał na środek pokoju, gdzie leżała już sterta innych rzeczy. Ten drugi pan, niższy, sapał przez nos i powtarzał co chwilę półgłosem: „Boże kochany, mam już tego wszystkiego dosyć...” A trzeci pan siedział za biurkiem taty i stukał palcami w lśniący blat, na którym było zawsze pełno małych drobinek kurzu. Nawet teraz, w świetle wielkiej lampy na suficie i lampki ojca stojącej na biurku, widać było jęzor kurzu. Nie wyglądało to ładnie, więc podszedłem i powiedziałem temu panu, że mamusia ściera biurko taty dwa razy dziennie, a mimo to ten kurz zaraz po ścieraniu na nim siada. Bo on, ten kurz, wie, że tata tutaj już nigdy nie usiądzie, i dlatego ciągle jest na biurku. Pan przejechał dłonią po gładkiej powierzchni, spojrzął pod światło na opuszkę palca, skrzywił się i wytarł rękę o spodnie. Przez chwilę przyglądał się nam, marszczył śmiesznie nos, robił zeza i tym zezem patrzył na mnie i na Tomka, który swoim zwyczajem dłubał w nosie. Ten jego zez był śmieszny, ale tylko trochę. Kiedy mu pokazałem, jak się robi prawdziwego zeza, to przestał swojego pokazywać. A potem zapytał, czy nam się wygodnie śpi. Tomek powiedział mu, że bardzo wygodnie, ale teraz przecież nie śpimy, a on i tak nie uwierzył i poszedł sprawdzić, czy mamy wystarczająco miękkie łóżka. Kiedy już wszystko poprzewracał i cała nasza pościel leżała na podłodze, wrócił do pokoju taty i znowu usiadł za biurkiem.

Mama była jakaś dziwna. Siedziała na krześle pod oknem i patrzyła w podłogę. Nie odezwała się nawet wtedy, kiedy Tomek głośno puścił bąka. To było bardzo dziwne, bo Tomek często puszczał bąki i mama wówczas zawsze gniewała się na niego i mówiła, że to wstyd i że nie wypada. A teraz wyglądało na to, że właśnie wypada. No to ja też chciałem puścić bąka, ale mi się nie udało. Szkoda.

Tymczasem wysoki pan w kapeluszu zrzucił ostatnią książkę na podłogę i zaczął wyjmować z szafy ubrania. Każde z nich dokładnie sprawdzał, wywracał kieszenie, a także obmacywał

materiał, a potem rzucił na kupę książek. To były ubrania taty i pachniały fajką. Bo tatuś, zanim zachorował na raka i oszedł sobie od nas do nieba, palił fajkę, ale jak odchodził, to pewnie zapomniał jej zabrać i teraz wszystkie ubrania czuć było tytoniem. Pan w kapeluszu podniósł marynarkę do nosa i powąchał.

— No tak. Amerykański. Tego się można było spodziewać. Gdzie wasz ojciec chował tytoń? — zapytał nas pan w kapeluszu, ciągle trzymając w rękach jasną marynarkę taty.

— Nie ma już tytoniu. Tata zabrał go ze sobą — odpowiedziałem.

— Zabrał? A dokąd? — zainteresował się pan, który sprawdzał, czy mamy miękkie łóżka.

— Do nieba — oświadczyłem, a Tomek powtórzył za mną jak echo: — Do nieba.

W tym czasie pan, który sapał przez nos, podniósł róg dywanu i dokładnie oglądał podłogę. Miał duży brzuch i chyba trudno było mu się schylać, bo sapał coraz głośniej. Pod dywanem podłoga była brudna i nagle zrobiło mi się wstyd.

— Z tej strony jest brudno, bo tu nie podnosimy — powiedziałem. — Zawsze się podnosi z tamtej strony — pokazałem palcem na drzwi prowadzące do naszego pokoju.

Wszyscy panowie chcieli zobaczyć, jak wygląda podłoga z tamtej strony, i bardzo szybko podeszli, a gruby pan, ciągle sapiąc, odsunął dywan. Rzeczywiście było tu o wiele czyszej. Panom się to bardzo spodobało i natychmiast odsunęli jeszcze więcej dywanu, ale tam dalej podłoga była znowu brudna. Wtedy gruby, sapiący pan ukucnął, pogłaskał Tomka po głowie i zapytał, którą deskę z podłogi tata zwykle wyjmował. Tomek odpowiedział, że tutaj się desek nie wyjmowało, tylko w kurniku. Ale przecież to nie był kurnik i ja mu powiedziałem, że to wcale nie jest kurnik, tylko szopa, w której dziadek rąbie drewno, i że tam wcale nie ma kur, tylko są szczury, a my je łapiemy na wędki wuja Kazimierza. I dodałem jeszcze, że wuj Kazimierz, który miał wypadek na motorze i teraz musi chodzić z laską, wlał nam za to, że szczury poodgryzały mu

haczyki, jak je łapaliśmy, a powinien przecież wlać szczerom, a nie nam. A potem poszliśmy pokazać im tę deskę, którą się wyjmuje, kiedy chcemy złapać kilka szczurów na wędki wuja Kazimierza.

Ci panowie w ciemności ciągle na coś wpadali, a gruby pan wszedł nawet do miski Kruczka. Pies jakby tylko na to czekał. Wskoczył z budy i złapał za kostkę tego grubego pana, który zaczął okropnie krzyczeć: „Gdzie mam pistolet, gdzie ja mam pistolet!” A później wołał do tego wysokiego pana, co siedział za biurkiem taty: „Niech go pan kropnie, panie poruczniku, niech go pan zastrzeli!”, ale mama uklękła, zasłoniła sobą Kruczka i wdepnęła go do budy, a wysoki pan zaśmiał się i schował pistolet. Później śmiał się jeszcze z tego grubego pana. „Ciebie już dawno psy powinny zezreć” — mówił. A wtedy ten gruby, ugryziony przez Kruczka pan zaczął w ciemności krzyczeć bardzo głośno, że nas wszystkich, zdegenerowanych kułaków, pozamyka do więzienia, bo poszczuliśmy na niego psa. Mama zaczęła płakać i prosiła tych panów, żeby nas nie zamykali do więzienia, bo to wszystko było niechący. I oni chyba uwierzyli, ale ja nie, bo Kruczka znałem bardzo dobrze. Tomek powiedział tym panom, żeby uważali, bo tutaj kaczki robią kupy, więc lepiej, żeby w nie nie wdepnęli, bo kaczki kupy wchodzi zawsze między palce. No i wreszcie pokazaliśmy im tę deskę, którą się wyjmuje, żeby wejść do kurnika, kiedy dziadek skończy rąbać drewno i zamknie drzwi na kłódkę, a my chcemy na wędki wuja Kazimierza złowić kilka szczurów.

Kiedy już wróciliśmy do domu i pan, który sprawdzał, czy mamy miękkie łóżka, przestał wreszcie krzyczeć, to zabrali mamę do kuchni, gdzie przez cały czas byli dziadek i wuj Kazimierz z takim jednym panem, co się bawił pistoletem. Z nami został ten wysoki pan w kapeluszu i zapytał, kto u nas słucha radia. Powiedzieliśmy mu, że u nas wszyscy słuchają, a my to nawet po dwa albo trzy razy dziennie. A on na to, czy to prawda, że u nas wszyscy słuchają radia, co się zaczyna od „bum, bum, bum, bum”. Powiedzieliśmy mu prawdę. U nas radia, które się zaczyna od „bum, bum, bum, bum”, słucha tylko dziadek. Potem dodałem, że to ja mówię w tym radiu,

a jak nie wierzy, to mogę mu zaraz zadeklamować *Pana Tadeusza*, i to w dodatku całego. Na to on powiedział, że mam niespotykaną fantazję, a ja natychmiast zacząłem deklamować, bardzo szybko, żeby mu jak najwięcej powiedzieć. Słuchał trochę, a kiedy mówiłem: „Pannoświętacojasnejbroniszczęstochowy...”, wzruszył ramionami i poszedł do kuchni. Chcieliśmy iść za nim, ale nam nie pozwolił. No to pogadałem sobie trochę z Tomkiem. Taka rewizja to fajna rzecz. Jutro rano opowiem wszystko w szkole, ale przedtem schowamy Kruczka, żeby go ci panowie nie zamknęli do więzienia. Ale całkiem niepotrzebnie się martwiliśmy. Panowie zostawili Kruczka, a do więzienia zabrali wuja Kazimierza.

Konikowo, dzielnica, w jakiej mieszkaliśmy, usytuowane było na samym skraju miasta, które nazywało się Gniezno. Stał tam wielki dom i po drugiej stronie drogi zabudowania gospodarcze. Było też trochę ziemi i dziadek nazywał to wszystko dzierżawą. Nasz ogród przylegał do ulicy Lelewela. Z chłopakami stamtąd nie mieliśmy najlepszych układów. Woleliśmy się tam nie pojawiać. Widywaliśmy się wyłącznie na odległość rzutu kamieniem i zawsze trzymając Kruczka w odwodzie. Czarny, duży kundel, z białym koniuszkiem ogona i białym „krawatem” pod brodą, czekał cierpliwie za rogiem i na nasz znak wypadał z głośnym szczekaniem, rozpędzając lelewelowską hałastrę na cztery wiatry. Całkiem inaczej było, kiedyśmy na łące grali w piłkę albo kiedy latem kąpaliśmy się w gliniance. Wtedy byliśmy kolegami, przyjaciółmi, prawie braćmi. To tylko ulice, przy których mieszkaliśmy, robiły z nas wrogów. Do przezwiska „kułaki” przyzwyczailiśmy się prędko i wydawało nam się to normalne, bo przecież każdy miał jakieś przezwisko. Ale dopiero kiedy ten gruby pan w trakcie rewizji tak nas nazwał, zrozumiałem, że „kułak” to znacznie więcej niż zwykłe przezwisko.

Dziadek miał wielkie, siwe wąsy i był bardzo wysoki. Zapytaliśmy go, co to znaczy, że ktoś jest kułakiem, i to go bardzo roz-

złościło. A jak dziadek robił się naprawdę zły, to lepiej było zejść mu z oczu. Dopiero wieczorem, kiedy usiadł obok radia, żeby posłuchać tego swojego „bum, bum, bum, bum”, podszedłem do niego i zapytałem o kułaka jeszcze raz. Mama siedziała w kącie i robiła dla Tomka sweter na drutach. Od czasu rewizji miała czerwone oczy, bo wuj Kazimierz ciągle siedział w więzieniu, choć już nadeszła zima i niedługo miały być święta. Kiedy zapytałem dziadka o kułaka, mama zaczęła płakać i kazała nam się wynosić do swojego pokoju, ale dziadek powiedział, żebyśmy zostali. Pociągnął z drewnianej fifki, otoczył się ostrym dymem tytoniowym, wyjął zegarek z dedykacją od samego cesarza Wilhelma, sprawdził godzinę, wziął Tomka na kolana i wreszcie wytłumaczył nam, co to znaczy kułak i dlaczego nas tak nazywano. Okazało się, że dziadek przed wojną był „ho, ho, ho!” A mama opowiedziała, że mieliśmy dużo ziemi i dworek, a nasza wioska nazywała się Łysin i była na Pałukach, obok Żnina, że dziadek był posłem na sejm i że w domu był oswojony jeleń, którego podziwiał nawet sam pan Eugeniusz Kwiatkowski, który był ministrem i premierem. Potem dziadek opowiedział nam o panu Kwiatkowskim i już na zawsze Śląsk i Gdynia kojarzyły mi się z tym nazwiskiem. I dodał, że bolszewicy zabrali nam wszystko, dom, ziemię i oswojonego jelenia też. Natomiast nie bardzo wiedziałem, co to znaczy być posłem, ale na pewno mieściło się to w głośnym „ho, ho, ho!” dziadka. Później rozległo się z radia „bum, bum, bum, bum” i musieliśmy siedzieć cicho. Zanim jeszcze dziadek zaczął słuchać, mama powiedziała nam, że nie wolno nikomu, ale to nikomu, o tym mówić. Ale spróbuj, człowieku, wytrzymać, kiedy nareszcie wiesz, dlaczego nazywają cię kułakiem i jeszcze to, że twój dziadek był „ho, ho, ho!” przed wojną. W klasie bardzo szybko także zostałem kułakiem i pani od polskiego nie prosiła mnie już więcej, żebym deklamował *Pana Tadeusza*.

Dziadek był bardzo fajny. W czasie wojny cała nasza rodzina została wysiedlona do Warszawy. Tamte strony nazywały się wówczas Kongresówką. Dziadkowi od tego czasu pozostała niechęć do

tamtych okolic i mieszkających tam ludzi. Jednak z dziwną jakąś niekonsekwencją nazywał ich „galicjokami”. Nigdy nie dowiedziałem się dlaczego. Jak mu się ktoś bardzo nie podobał, nazywał go po prostu „galicjokiem”. Ponieważ urodziłem się w Warszawie, to ja także, kiedy coś przeskrobałem, słyszałem pełne wyrzutu: „Ty galicjoku jeden”. Ale mówił to innym tonem, niż kiedy wyrzucał z siebie pełne złości komentarze „o tych bolszewikach galicyjskich”. I nic nie pomagało proszenie dziadka, żeby o tych galicjokach bolszewickich mówił trochę ciszej. Nawet pan doktor Flis, który czasami przychodził badać nas wszystkich i który, słuchając dziadka, powiedział kiedyś: „Zobaczy pan, panie Antoni, panie pośle kochany, że to głośne gadanie jeszcze kiedyś zaprowadzi nas wszystkich do więzienia”, usłyszał mruknięcie:

— A pewnie, jeszcze jeden galicjok będzie mnie tu uczył...

Zaraz po świętach Bożego Narodzenia, w samym środku nocy, wrócił z więzienia wuj Kazimierz. Mama obudziła nas, żebyśmy mogli się z nim przywitać. Śmiała się i ścisnęła go, a później dziadka, który bardzo długo wycierał wąsy. Wuj Kazimierz wyglądał dziwnie. Był bardzo chudy i stale pociągał nosem. Ucieszyliśmy się z jego powrotu, bo zdążyliśmy już zapomnieć o laniu za haczyki z jego wędek, które poobgryzały szczury, kiedy je łapaliśmy w kurniku, który nie był kurnikiem, ale szopą, w której dziadek rąbał drewno. Wuj Kazimierz przyszedł z jednym panem. Rozmawiali o czymś bardzo tajemniczo. Chcieliśmy z Tomkiem wiedzieć o czym, ale mama kazała nam iść spać, a z naszego pokoju zupełnie nic nie słyszeliśmy. Rano już nie było ani wuja Kazimierza, ani tego drugiego pana, który się strasznie denerwował i bez przerwy mówił, że natychmiast powinni iść, „bo te cholery zaraz pewnie tu będą”. Za to wieczorem mieliśmy drugą rewizję, ale tym razem mama nie pozwoliła nam wychodzić z pokoju.
